

Małgorzata Owczarska i Iwona Wagner

JĘZYKI WODY – DIALOG

Languages of Water – Dialogue

Abstract: The text is an experimental sketch based on a dialogue between an ecohydrologist and an anthropologist of culture. The authors will subject a critical, interdisciplinary reflection to various water languages used colloquially or in selected professional discourses. They will ask themselves what water is in different contexts, how it is spoken of, how it is thought of, how it is treated and what role water related languages play in times of climate crisis. After all, it is reasonable to ask whether water is a resource, chemical compound, life, service provider, stakeholder, law, or sewage. Based on examples in contemporary discussion on water and the associated blue-green infrastructure the authors distinguish several trends in different ways of talking about water: economic, medical, defensive, scientific and communitarian. They will reflect on the mechanisms comparable to colonial ones that determine the domination of some and the infantilization or cancelation of others, especially the communitarian ones. This dialogue will reveal an “intercellular” permeability of water definitions and how easily water can assume some meaning to escape it and create a series of new ones.

Keywords: water languages, water, blue-green infrastructure, blue humanities, ecohydrology

Małgorzata Owczarska (M.O.): Rozpoczęłyśmy naszą rozmowę latem 2020 roku, w środku pandemii zastanawiałyśmy się nad przyszłością wody w mieście. W projekcie „Jaka woda?” w ramach programu rezydencyjnego „COVID-19. Jaki świat po pandemii?” w Biennale Warszawa rozmawiałam wówczas z sześcioma kobietami, które w różny sposób zajmują się wodą. W trakcie naszej rozmowy okazało się, że oprócz oczywistych wątków środowiskowych i klimatycznych, zaczęłyśmy dyskuszję o języku, czyli o tym, jak

na co dzień w naukach, w dokumentach kształtujących polityki gospodarki wodnej, inwestycje, ale i w zwyczajnym życiu myśli się i mówi się o wodzie. Same łąpałyśmy się na różnych sformułowaniach, skrótach myślowych, za którymi skrywały się wyobrażenia o wodzie. Wyobrażenia brzemienne w skutkach, bo wpływające na obecną rzeczywistość, otoczenie i scenariusze przyszłości.

Pierwszym pytaniem, jakie zadawałam wszystkim rozmówczyniom, było czym dla nich jest woda. Sama rozumiałam ją jako transsubstancję – jest

to termin zaczerpnięty z książki Andrei Ballestero *A Future History of Water*¹. Pojęcie to zawiera w sobie pewną charakterystykę wody, tak materialną, jak i metaforyczną: woda łatwo przesiąka, płynie, zmienia stany skupienia i przenika materię, ale i różne kategorie. Dlatego gdy człowiek stara się nadać jej znaczenie, ona to znaczenie przyjmuje, ale jednocześnie się mu wymyka i płynie do kolejnego szeregu definicji wynikających z takiej czy innej relacji oraz z różnorodności nadawanych jej sensów. Przykładem proponowanym przez Ballestero jest polityka Kostaryki, w której swobodny dostęp do wody pitnej jest prawem. Państwo natomiast ma ten dostęp zapewnić. Jednocześnie pojawia się problem kosztu dostawy i utrzymania instalacji, który częściowo muszą ponosić obywatele/odbiorcy, stąd też administratorzy mają zapewnić „przystępną cenę”. W tym celu wdrażane są całe strategie i narzędzia przeliczania, czy może przestaczenia wody z substancji niezbędnej do życia – w prawo – w towar o przystępnej cenie – we wzór rozliczeniowy i pomiar – w wodę w kranie służącą do prania, kąpieli czy gotowania. Woda przenika wszystkie te kategorie, rozwidla się na różne strefy społeczne i nie tylko, cierpliwie przyjmując definicje i nieustająco im się wymykając.

Intuicja nie zawiodła mnie, każda z rozmówczyń inaczej postrzegają wodę. Fizyczka Aleksandra Kardaś odpowiedziała, że to „jest przede wszystkim związek chemiczny, to są cząsteczki, które się składają z jednego atomu tlenu,

dwóch wodoru. One mogą ze sobą oddziaływać, mogą oddziaływać z całą masą innych związków. Można je badać, można zapędzać je do różnego rodzaju zadań, wykorzystywać je na przykład jako chłodziwo w różnych eksperymentach albo medium do tworzenia różnych chemikaliów. Woda bierze udział w mnóstwie procesów. Geofizycy najlepiej to dostrzegają, bo w spektrum zainteresowań są procesy na poziomie mikro – jak to się dzieje, że molekuly się ze sobą łączą, żeby tworzyć kropelki w chmurze, ale też na poziomie makro, (...) są fizycy morza, którzy patrzą, jak wielkie masy wody przemieszczają się po planecie”². Eko-ogrodniczka i działaczka na rzecz agroekologii Agnieszka Makowska odpowiedziała natomiast tak: „Jeśli chodzi o rolnictwo, to woda jest (...) czymś podstawowym, bez czego trudno byłoby o plony. Natomiast woda nie jest czymś (...) oddzielnym, co się bierze, dostarcza na pole, tylko jest jakąś częścią pewnego ekosystemu. Dla mnie, osobiście (...) woda jest oczywiście bardzo ważna, ale nie jest (...) priorytetem, bo priorytetem dla mnie jest gleba i wodę traktuję, jako część gleby. (...) to [gleba – przyp. M.O.] jest dla mnie podstawowym materiałem do pracy, a tak naprawdę sprzymierzeńcem. (...) Jeśli dbamy o glebę, jeśli ona jest żywa, jeśli jest pełna próchnicy, to także wspaniale retencjonuje wodę, zatrzymuje ją i potem rzeczywiście oddaje to warzywo. (...) rolnicy, zwłaszcza ci ekologiczni, (...) przede wszystkim pracują z glebą, potem jeśli ona jest

¹ A. Ballestero, *A Future History of Water*, Duke University Press, Durham 2019.

² A. Kardaś, Wywiad z dnia 3.07.2020, projekt „Jaka woda?” „COVID-19. Jaki świat po pandemii?”, prowadzenie M. Owczarska, https://youtu.be/2Ib-9oH_hK4 (dostęp: 22.02.2021).

w dobrej kondycji, to jest jak żywy organizm (...)”³. Ratowniczka morska Iwona Kołodziejaska odpowiedziała następująco: „[Woda – przyp. M.O.] jest obszarem działania, tak ja to pojmuję, jest to obszar, z którym trzeba umieć współpracować, z którym trzeba umieć czasem powalczyć albo coś z tej wody wydrzeć, trzeba rozumieć różne zjawiska zachodzące w wodzie łącznie z wirami, prądami itd. po to, aby w prawidłowy sposób zadziałać. Bo ratownictwo, to ratownictwo, jest zadanie do wykonania. A woda można powiedzieć... to jest troszeczkę taki nasz przeciwnik, z którym musimy powalczyć, żeby nam woda tych naszych poszkodowanych nie zabrała. A jak to jest wypłynąć na morze (...)? To są zawsze piękne chwile. To jest takie spotkanie z naturą, to są pozytywne emocje, radość, ekscytacja, to wtedy czuję motywację do działania... i takie poczucie, że kiedy płyniemy na akcję, to płyniemy dla kogoś, po kogoś (...)”⁴. Wielość światów, wielość doświadczeń, różnorodność języków, a ten sam wzór H₂O. Ty wówczas, jako ekohydrolożka, odpowiedziałas jeszcze coś innego. „Woda to życie”, i jest to postulat naukowy.

Iwona Wagner (I.W.): Woda to życie. Myślę o niej tak od czasu, kiedy

pracowałam ze studentami na obozie naukowym organizowanym przez *Darwin Initiative for Biodiversity Conservation and Sustainable Livelihoods* w Kenii. *Maji ni uhai*, czyli „woda to życie” w języku suahili. Studenci z różnych stron Kenii i goszczący nas Masajowie powtarzali to chyba każdego dnia. Wyrażali tak głębokie zrozumienie tego, że przeżycie, tak przyrody, jak i zależnego od niej człowieka, uwarunkowane jest dostępem do wody w wystarczającej ilości i odpowiedniej jakości. W Afryce Subsaharyjskiej nie można tego dostępu traktować jako pewnik, a skutki braku wody są natychmiast odczuwalne. Tak samo jest też w innych szerokościach geograficznych, również – coraz częściej – w Polsce.

Woda jest podstawą funkcjonowania całego systemu przyrodniczego. W tej oczywistej prawdzie utwierdzałam się przez ponad 25 lat mojej pracy zawodowej, w której zajmuję się ekohydrologią – nauką badającą ekologiczne aspekty cyklu obiegu wody. Dzisiaj dramatycznie szybko przyspieszające skutki antropogenicznej zmiany klimatu i degradacji krajobrazu prowadzą do niekontrolowanych powodzi i dotkliwych susz, których doświadczamy coraz częściej. Te oczywiście wpływają i zmieniają cały łańcuch życia – system przyrodniczy oraz zależną od niego gospodarkę i samego człowieka – wprowadzając element chaosu i nieprzewidywalności.

M.O.: Poruszyłaś tu kilka ważnych kwestii; pierwszą jest stwierdzenie, że człowiek zmienia się ze względu na kryzys klimatyczny, obserwuje i odczuwa chociażby zmiany w cyrkulacji wody – ale chyba głównie dlatego, że w codzienność

³ A. Makowska, Wywiad z dnia 12.07.2020, projekt „Jaka woda?” „COVID-19. Jaki świat po pandemii?”, prowadzenie M. Owczarska, <https://youtu.be/jD0MoaPIY6w> (dostęp: 22.02.2021).

⁴ I. Kołodziejaska, Wywiad z dnia 18.07.2020, projekt „Jaka woda?” „COVID-19. Jaki świat po pandemii?”, prowadzenie M. Owczarska, <https://youtu.be/jD0MoaPIY6w> | <https://youtu.be/jXJiDCsZuAI> (dostęp: 22.02.2021).

wkroczył drugi wspomniany aspekt rzeczywistości – w postaci chaosu, nieprzewidywalności i widma katastrofy. Przyszły one z kierunku w pewnym sensie wcześniej nieświadomionego, bo obecność i dostęp do wody były „oczywiste”. To prawda, że Kenijczycy musieli inaczej rozumieć tę relację, bo też inaczej jej doświadczali. Stąd pewnie musimy zawęzić dywagację o „my” do wyobrażeń z naszych własnych „podwórek” (nie jesteśmy przecież nawet jako społeczeństwo homogeniczni). Pytanie tylko, co to znaczy, że „człowiek” i na jakim „podwórku” się zmienia. Problem z definicją „my” i „człowieka” wiąże się ze skalą kryzysu klimatycznego, która ciska nas po różnych poziomach ogólności od człowieka jako gatunku, przez członków społeczności, grup zawodowych, decydentów, polityków, do ucieleśnionego zbioru nawodnionych tkanek. I po tych obszarach przyjdzie nam się pewno poruszać w tej rozmowie. Szybkie tempo zachodzących obecnie antropogenicznych zmian w środowisku nie daje oczywiście ludziom, ani innym gatunkom, szansy ewolucyjnego przystosowania się do nowych warunków. Jedynym obszarem, w którym zmiana jest konieczna i, miejmy nadzieję, możliwa, jest świadomość ludzkich powiązań z wodą i środowiskiem, sposoby opisu samego siebie i naszej (gatunkowej, zawodowej, osobistej) relacji z wodą, ale i otaczającym światem. O tych postawach i towarzyszących im językach chciałam rozmawiać. To one w końcu są dzisiaj obecne w dokumentach planistycznych, strategiach klimatycznych miast, studiach wykonalności lub rekomendacjach instytucji odpowiedzialnych

za środowisko. Te dyskursy produkują w dużej mierze naszą wodną przyszłość.

I.W.: Przyjrzyjmy się zatem temu językowi. On często operuje terminem „człowiek” w uogólniony sposób, wkładając mu w usta to, w jakich relacjach z wodą żyje społeczeństwo, które podlega wspólnemu systemowi prawa. Tak naprawdę jest to jednak pewien model rzeczywistości, choć ważny, bo przekładający się na stosunki społeczno-naturalne, dostrzeganie zależności człowiek–środowisko w różny sposób. Jedną z postaw w ekologii jest koncepcja „usług ekosystemowych”, opisująca i wyceniająca korzyści (w tym potencjalne lub utracone), dostarczane człowiekowi przez środowisko naturalne. Te korzyści, dosyć jednostronnie, płyną do człowieka. Przecież wszystko to, co jest podstawą naszego życia – powietrze, którym oddychamy, czysta woda, pożywienie – pochodzi od innych gatunków. Społeczeństwa niejako spodziewają się, że strumień korzyści będzie do nich płynął zawsze, a decydenci budują modele oparte na ciągłym wzroście tak, jakby zasoby naturalne, które są podstawą gospodarek, były nielimitowane. A tak nie jest. Degradujemy zarówno biosferę, jak i konieczny do jej przeżycia cykl wodny.

Koncepcja usług ekosystemowych pojawiła się w nauce dosyć niedawno, bo dopiero w drugiej połowie XX wieku⁵. Szersze uznanie, niż w środowisku

⁵ R.S. de Groot, *Functions of Nature: Evaluation of Nature in Environmental Planning, Management and Decision Making*, Wolters-Noordhoff BV, Groningen 1992; G.C. Daily, *Nature's Service: Societal Dependence on Natural Ecosystems*, Island Press, Washington, DC 1997;

jedynie naukowym, zyskała w 2005 roku, gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych (ONZ) opublikowała raport dotyczący milenijnej oceny ekosystemów⁶, angażując do pracy nad nim setki międzynarodowych ekspertów. W tym raporcie ONZ wskazuje na silne powiązania usług dostarczanych przez naturę i dobrostan człowieka (ang. *well-being*), oraz na problem degradacji ekosystemów i ich wykorzystania w sposób niezrównoważony. Dzieli również usługi ekosystemowe na cztery kategorie: usługi zaopatrujące (np. żywność, picie, leki, ubranie, materiały budowlane); usługi kulturowe (np. rekreacja czy wyjazd na wakacje nad czyste morze); usługi regulacyjne (ważne dla podtrzymywania systemu życia – np. ochrona przed powodzią, poprawa jakości wody i powietrza, stabilizacja przyjaznego nam klimatu czy łagodzenie miejskiej wyspy ciepła w mieście). Warunkiem dostarczania tych trzech kategorii usług przez ekosystemy jest kategoria czwarta – usługi podstawowe, czyli wszystkie procesy (bio)fizyczne, (bio)chemiczne i ekologiczne, na przykład takie jak produkcja pierwotna, denitryfikacja, wszelkie procesy enzymatyczne, parowanie, infiltracja, interakcje międzygatunkowe i wiele

innych. Zachodzą one tym sprawniej, im mniej przekształcone jest środowisko, a obecność wody i wysoka bioróżnorodność są jednymi z najważniejszych warunków ich sprawnego przebiegu. Reasumując, środowisko musi przede wszystkim samo funkcjonować poprawnie, żeby było w stanie zapewnić ludziom oczekiwane przez nich „korzyści”. Najpierw dobra jakość środowiska, potem usługi, nie może być odwrotnie.

M.O.: Ja patrzę na tę koncepcję jak na pewien język opisu, bardzo silny, dominujący, który jedne kwestie wzmacnia, a inne unieważnia. Myślę, że mówi też wiele o nas jako społeczeństwie, które produkuje taką wodę „usługodawcę”, tak ją przetwarza, w takie relacje usiłuje z nią wchodzić. Sam język odczytuję jako kolonialny, eksploatacyjny wobec wody i szerzej – wobec ekosystemów, niezwykle antropocentryczny. Woda jest tutaj podporządkowana (*subaltern*)⁷ i oczekuje się od niej świadczenia usług. Jest pozbawiona swojego głosu i sprawczości. Choć przecież wiemy, że tak nie jest, dlatego właśnie cierpimy susze i powodzie, borykamy się ze złą jakością wody. Fizyka i biologia są w pewnym sensie bezlitośnie sprawcze, tym bardziej że nie są wobec nas – ludzi – zewnętrzne. Tymczasem, jak wspomniałaś, koncepcja „usług ekosystemowych” jest dość jednostronna i stawia granice pomiędzy „my” – ludzie – a „zewnętrzną naturą”, wodą, ekosystemem, które traktowane są jako zasób. Ale też ta koncepcja jest

R. Costanza, R. D'Arge, R.S. de Groot, S. Farber, M. Grasso, B. Hannon, K. Limburg, S. Naeem, R.V. O'Neill, J. Paruelo, R.G. Raskin, P. Sutton, M. van den Belt, *The Value of World's Ecosystem Services and Natural Capital*, „Nature” 1997, no. 387, s. 253–260.

⁶ Millennium Ecosystem Assessment (Report), *Ecosystems and Human Well-being: Opportunities and Challenges for Business and Industry*, World Resources Institute, Washington 2005.

⁷ G.C. Spivak, *Can the Subaltern Speak?* [w:] C. Nelson, L. Grossberg (eds.), *Marxism and the Interpretation of Culture*, University of Illinois Press, Chicago 1988, s. 271–313.

spójna i zawiera w sobie rozumienie współzależności, zwłaszcza jeśli popatrzymy na zbiór „usług podstawowych”, które już nie są „potrzebne człowiekowi do”, tylko są warunkiem przetrwania, podstawą życia. Ciekawe i znaczące dla mnie jest pytanie, czemu w tej społeczno-ekologicznej wiedzy o połączeniach ucieka się do wyrażen ekonomicznych, aby opowiadać o hydrospołecznych cyklach, że użyję terminu Jamie Lintona i Jessiki Budds⁸. Ekologia przecież bada zależności i połączenia wewnątrz ekosystemów, ostatnio alarmuje o tym, że przestają się one samo-podtrzymywać ze względu na antropogeniczne ingerencje i przekształcanie np. rzek, uszczelnianie powierzchni miast betonem, osuszanie pól, łąk i mokradeł. Odczytuję to jako wezwanie do poszukiwania alternatywnych sposobów traktowania wody, redefinicji roli i pozycji człowieka w tych hydro-relacjach, poszukiwanie nowych języków opisu, polityk, strategii działań. Pytanie, czy język ekonomiczny jest skutecznym tego narzędziem.

I.W.: Być może język ekonomiczny przy opisie środowiska i problemów środowiskowych po prostu lepiej trafia do dzisiejszego odbiorcy. Niebezpieczeństwo, które tutaj widzę, jest takie, że upraszcza on rolę środowiska i nie nakłania do zrozumienia zachodzących w nim procesów (*black box approach*), lecz kładzie akcent na „korzyści”. A prawda jest taka, że w dzisiejszych czasach koncepcją „usług

ekosystemowych” można się posługiwać z pewnymi zastrzeżeniami. Późno zaczynamy poważnie rozmawiać o środowisku i wiemy, że już od dawna mamy poważne problemy. Nasze środowisko jest na tyle zmienione, że proste oczekiwanie, aby usługi ekosystemowe traktować jako „pewnik”, jest nadużyciem. Choć Europejczykom wciąż często brakuje jeszcze organicznego doświadczenia braku, które jest tak oczywiste dla mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej. Niestety, świadomość naszego negatywnego wpływu na środowisko rozwija się wolniej niż sam ten wpływ. W wyniku raptem dwustu lat intensywnych procesów cywilizacyjnych, zwłaszcza od drugiej połowy XX wieku, 75% ziemi zostało silnie przekształcone, a ponad 85% obszarów podmokłych, jakże ważnych z punktu widzenia jakości wody, funkcjonowania klimatu i biosfery, zniknęło z powierzchni ziemi⁹. Rzeki są w opłakanym stanie, zwłaszcza w Europie, gdzie na terenie 36 przeanalizowanych krajów zidentyfikowano w korytach rzecznych ponad 1,2 miliona barier, uniemożliwiających swobodny przepływ wody i przemieszczanie się gatunków¹⁰. Czyli tej „naturalnej natury” zostało bardzo niewiele. Przyroda w wyniku lat ewolucji wypracowała

⁸ J. Linton, J. Budds, *The Hydrosocial Cycle: Defining and Mobilizing a Relational-Dialectical Approach to Water*, „Geoforum” 2014, no. 57, s. 170–180.

⁹ E.S. Brondizio, J. Settele, S. Díaz, H.T. Ngo (eds.), *IPBES: Summary for Policymakers of the Global Assessment Report on Biodiversity and Ecosystem Services of the Intergovernmental Science-Policy Platform on Biodiversity and Ecosystem Services*, IPBES secretariat, Bonn 2019.

¹⁰ B. Belletti, C. Garcia de Leaniz, J. Jones et al., *More Than One Million Barriers Fragment Europe's Rivers*, „Nature” 2020, no. 588, s. 436–441, <https://doi.org/10.1038/s41586-020-3005-2> (dostęp: 23.02.2021).

wiele mechanizmów umożliwiających utrzymanie równowagi pomimo zaburzeń – homeostazę. Odczuwalne przez jednostki skutki postępującej już od lat degradacji są zatem często odsunięte w czasie. To powoduje, że nie dostrzegamy zależności przyczynowo skutkowych pojedynczych decyzji lub ulegamy złudzeniu, że wszystko da się naprawić różnego rodzaju interwencjami. Co ciekawe, kiedy mówimy o naprawianiu, mamy na ogół na myśli zdolność środowiska do zaspokajania naszych potrzeb, niekoniecznie faktyczny jego dobrostan. To powoduje wiele kłopotów – interwencje działają tylko doraźnie i przy niewielkich zaburzeniach, natomiast wielkoskalowe zmiany muszą doprowadzić w końcu do załamania procesów podtrzymujących funkcjonowanie środowiska i spowodować przejście ekosystemów w inny, nowy stan równowagi, który może nie być już dla nas tak korzystny (np. wiemy już, że degradacja niektórych ekosystemów wodnych prowadzi do zdominowania ich struktury biotycznej przez kancerogenne dla człowieka zakwity sinicowe).

Nadmierne skupienie się na usługach ekosystemowych często prowadzi do przyjęcia skrajnie antropocentrycznego podejścia do wody. Wciąż jest to bardzo widoczne w rozmaitych dokumentach planistycznych związanych z gospodarką wodną. Woda jest tam wyłącznie zasobem lub przedmiotem ochrony – co jest protekcyjne. Dość popularne są pytania: „Czy tej wody wystarczy do nawodnienia upraw? Czy starczy wody pitnej lub dla naszych potrzeb gospodarczych? Czy ta woda jest bezpieczna do kąpielii lub picia?”. Punktem wyjścia

staje się możliwość rozwoju lub samospelnienia człowieka bądź rozwoju gospodarczego. Przyczyny ewentualnych braków, ograniczeń, zagrożeń, czyli degradacji środowiska i cyklu krążenia wody, pozostają na marginesie. Myślę, że również w głównym nurcie debaty publicznej brakuje refleksji nad stanem środowiska, ale pozostaje oczekiwanie, że będzie ono dostarczać usług na bardzo dobrym poziomie. W kontekście postaw i języka poruszamy się tutaj wręcz w kategoriach niewolnictwa. Środowisko jest nadmiernie wykorzystywane, wyczerpywane, degradowane, „wpędzane w chorobę”, społeczeństwa jednak, bez względu na jego stan, oczekują wciąż wydajniejszej pracy. Wówczas też zasada „usług” się chwieje, gdyż usługi są jakąś wymianą, ten wspomniany język ekonomiczny zakłada, że ekosystemy nam coś „dają”, tylko w rzeczywistości to my „bierzemy”, nie ma tu „transakcji” czy obustronnej relacji. Związek pomiędzy złą jakością środowiska, jego obniżoną „wydajnością” a naszymi rosnącymi potrzebami pozostaje niewidoczny.

M.O.: Czyli dotykamy tutaj postawy uporczywej eksploatacji. I jak o tym myślę, to jest ona w dużej mierze z jednej strony kamuflowana hasłami rozwoju, optymalizacji dostarczania wody do miast, zapewniania wody rolnictwu, a z drugiej – odpór stawiany jest poprzez ten sam język, że nam się nie „opłaca” eksploatowanie, że więcej „oszczędzimy” poprzez renaturyzację, że da się skalkulować „korzyści” dobrej jakości środowiska i wody, np. przeliczając to na wydatki na służbę zdrowia albo ochronę przeciwpowodziową, straty wynikłe

z suszy. I tak dochodzimy do kolejnego zestawu przekonań, postawy obronnej, w której wybrzmiewa język kontroli, bliski wojskowym manewrom. Chodzi o walkę z zagrożeniem, woda jest traktowana jak wróg.

I.W.: Mówimy wówczas na przykład o ochronie przed powodzią, zwalczaniu suszy, regulacji, (czyli *de facto* – kontrolowaniu) rzeki, budowaniu zapór, zabezpieczeniu przed erozją. Chronimy się przed środowiskiem po tym, jak sami dokonaliśmy na nie „inwazji”, zaburzając funkcjonowanie biosfery, a tym samym własne bezpieczeństwo ekologiczne. Wprowadza się wówczas działania naprawcze – twarde, techniczne, inżynierskie rozwiązania, które mają środowisko „okiełznać” i zastąpić procesy normalnie w nim zachodzące. Dobrym przykładem jest powszechny paradoks związany z dolinami rzecznyymi, czyli obszarami zapewniającymi przestrzeń dla naturalnego rozlania się wód podczas wysokich stanów rzeki. Wkraczanie zabudowy na obszary zalewowe doprowadziło do, w zasadzie łatwo przewidywalnej, sytuacji, kiedy to wezbranie (proces naturalny) stało się powodzią (problemem społeczno-ekonomicznym). Aby zabezpieczyć swoje mienie, decydenci podejmują działania, które mają na celu „ujarzmienie” rzeki – takie jak budowanie wałów przeciwpowodziowych lub zbiorników zaporowych. A wielu członków społeczności domaga się tego w przekonaniu, że to właśnie one poprawią ich bezpieczeństwo. Widzę tu wiele problemów. Po pierwsze, koszty takich działań są ogromne, zwłaszcza w porównaniu z opcją, którą mogłoby być zaniechanie

zabudowy i pozostawienie doliny rzece, lub przynajmniej wyznaczenie obszernej przestrzeni zalewowych powyżej głównych obszarów, np. miast. Poza wysokimi kosztami budowy dochodzą tu koszty ciągłego ich utrzymania, monitoringu, konserwacji. A co więcej, wzbierająca rzeka w tych twardych i ograniczonych strukturach mieści się z trudem i powstaje ryzyko przerwania wałów przeciwpowodziowych lub uszkodzenia zapory, które mogą prowadzić do prawdziwych ludzkich tragedii. Kiedy już do niej dochodzi, język jeszcze się zaostrza. Mówimy wówczas o walce z żywiołem, angażujemy ratowników, straż pożarną, wojsko, policję, a nawet funkcjonariuszy straży granicznej i innych służb. Tak było między innymi podczas powodzi na Podkarpaciu w 2010 r., kiedy to trzeba było ewakuować 30 tys. osób, pod wodą znalazło się ponad 550 tys. ha obszarów użytkowych, a straty oszacowano na prawie 12 mld złotych. Tutaj środowisko traktowane jest jak zagrożenie, a nie jak sprzymierzeniec i część systemu podtrzymującego, również ludzkie, życie. Jeśli jednak rzeka miałaby być sprzymierzeńcem – być może trzeba umożliwić jej funkcjonowanie – rozważyć przyznanie jej prawa do jej obszarów zalewowych i oddanie jej części terytorium.

M.O.: Czytając np. podręcznik wydany ostatnio w ramach opracowania Krajowego Programu Renaturyzacji Wód Powierzchniowych¹¹ albo strony inter-

¹¹ *Renaturyzacja Wód. Podręcznik dobrych praktyk renaturyzacji wód powierzchniowych*, oprac. w ramach przedsięwzięcia „Opracowanie krajowego programu renaturyzacji wód powierzchniowych”, P. Pawlaczyk (red.),

netowe dotyczące opracowania planu przeciwdziałania skutkom suszy na obszarach dorzeczy¹² – Stop suszy!, widziałam mieszkankę języków ekonomicznych, kontrolujących oraz wyraz troski i dbania, który stawia człowieka w bardzo specyficznej pozycji medyka, a wodę, najczęściej rzekę, w roli pacjenta. Nie jest to zresztą moja metafora, zwróciła mi na nią uwagę Ilona Biedroń, jedna z autorek wymienionego podręcznika. „Medyczność” języka wyrażana jest w szczególny sposób, np.: „Zakres i dobór możliwych do zastosowania metod renaturyzacji zależy od stopnia przekształcenia ekosystemu oraz występujących presji, które determinują ewolucję ekosystemu oraz jego zdolność do samoistnej regeneracji. (...) Ekosystemy o większym stopniu przekształcenia wymagają wspomagania samoistnej regeneracji, w pierwszej kolejności poprzez ograniczenie lub usunięcie występujących presji. Ekosystemy zdegradowane, które nie są zdolne do samoistnej regeneracji, wymagają planowanych i zakrojonych na szeroką skalę działań prowadzących do ich rekonstrukcji”¹³. I dalej, o sposobach monitorowania procesu: „Choć podstawową miarą sukcesu pozostanie poprawa stanu lub funkcjonowania ekosystemu, to istotne są także

zmiany społeczne i ekonomiczne, zachodzące w wyniku renaturyzacji wód – jak np. obniżenie kosztów utrzymania zrenaturyzowanych wód; odtworzone świadczące ekosystemów wodnych oraz terenów pozostających pod wpływem wód; bezpieczeństwo ludzi; satysfakcja społeczeństwa itp. Także te aspekty warte są monitorowania”¹⁴. Jest to wizja zdecydowanie bardziej nastawiona na długotrwałe procesy „uzdrowiania” rzek i jezior, „aplikowania kuracji”, choć takie słowa nie padają w dokumencie, oraz tego, aby renaturyzacja uwzględniała przyglądanie się zmianie w relacji z ludźmi (choć jest ona w określony sposób definiowana).

I.W.: Istotnie, taki język pojawia się w szczególności w kręgach naukowych i organizacjach pozarządowych związanych z ekologią i ochroną środowiska, w realizowanych w Polsce projektach, a także, coraz częściej, w dokumentach strategicznych i aktach prawnych, zwłaszcza tych powodowanych ustawodawstwem europejskim. Słyszymy wówczas o diagnozie, ocenie stanu, renaturyzacji, rehabilitacji, restauracji, remediacji, odtwarzaniu, przywracaniu funkcjonalności czy ochronie dobrego stanu ekologicznego wód. Istnieje także wiele koncepcji tworzących naukowe podstawy takich działań, w tym wspomniana wcześniej ekohydrologia, która poza badaniem wzajemnych zależności pomiędzy procesami hydrologicznymi i biosferą, stosuje wnioski ze swoich badań, aby poprawić stan środowiska i, w konsekwencji, jakość życia ludzi¹⁵.

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie, Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej, Warszawa 2020.

¹² *Projekt planu przeciwdziałania skutkom suszy. Wersja po strategicznej ocenie oddziaływania na środowisko podlegająca procedurze legislacyjnej*, Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie, Warszawa 2020, http://wide-vision.pl/wp-content/uploads/2020/10/Projekt-PPSS_10-2020.pdf (dostęp: 13.02.2020).

¹³ *Renaturyzacja Wód...*, op. cit., s. 8–9.

¹⁴ *Ibidem*, s. 11.

¹⁵ M. Zalewski, *Ekohydrologia*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2020.

Te wszystkie pojęcia „medyczne” różnią się między sobą, przede wszystkim celami, jakie stawiają same sobie w „leczeniu” ekosystemów oraz stosowanymi w tych celach metodami. U podstawy ich rozróżnienia leży przede wszystkim stan „pacjenta”. Przykładowo, powszechne używane słowo „renaturyzacja”, które naukowo oznacza przywrócenie ekosystemu do stanu pierwotnego, sprzed interwencji człowieka, bazuje na ogół na nierealistycznych założeniach. Środowisko przekształcone jest już w tak dużym stopniu, że chociażby odtworzenie pierwotnego zagospodarowania zlewni ciekłu, a więc np. powrót do pierwotnego reżimu zasilania go wodami podziemnymi i spływem powierzchniowym, nie jest już często możliwe. Nie wspominając o zmieniającym się klimacie, który powoduje zmianę rozkładu opadów, ilości dostępnej wody i temperaturę. Taka zmiana dotychczasowych warunków brzegowych funkcjonowania ekosystemu bezpośrednio oddziałuje na skład gatunkowy jego biocenozy poprzez stopniową eliminację gatunków gorzej dostosowanych do nowych warunków i ułatwienie inwazji lub szybszego wzrostu i rozmnażania innym; wpływa na powiązania wewnątrz biocenozy – czyli na stosunki międzygatunkowe; zmieniają się tempo i szlaki przepływu energii oraz krążenia materii, i wiele innych procesów. W dzisiejszej sytuacji, gdy negatywny wpływ człowieka na środowisko jest już tak bardzo powszechny, bardziej realistyczną strategią jest np. rehabilitacja ekosystemu, która prowadzi do odtworzenia np. w rzece takich warunków hydromorfologicznych (a więc struktury, czyli nieożywionej części ekosystemu),

które mogłyby wspierać funkcjonowanie biocenozy (a więc ożywionej części ekosystemu) w taki sposób, aby w rzece mogły zachodzić podstawowe procesy fizyczne, chemiczne, biologiczne i ekologiczne, umożliwiające jej samodzielne funkcjonowanie. Nie ma tu ambicji powrotu do stanu pierwotnego.

M.O.: Mnie zaciekał termin hydromorfologia i przyrównywanie rzeki do żywego organizmu, Jak rozumiem hydromorfologię, jest to rodzaj geologicznego ciała rzeki, która ma swoją strukturę, długość, rodzaj podłoża, szybkości przepływu wody, meandry, kształt koryta. Od stanu hydromorfologii, w który człowiek często ingeruje, zależy jakość ekosystemów, czyli życia w i wokół rzeki. Rzeka stanowi w tej koncepcji całość, choć składającą się z pewnych nieożywionych i ożywionych elementów. To ciekawe, bo przychodzi na myśl kartezjański podział na ciało i umysł. Rzeka jest podzielona na nieożywioną hydromorfologię i życie – asamblaż różnych stworzeń, które na siebie oddziałują. Rzeka staje się procesem. Tak rozumiana rzeka dobrze wpisuje się w metafory medyczne, używane podczas badań i konsultacji społecznej do tłumaczenia idei renaturyzacji lokalnym społecznościom. Woda przestaje być „zasobem”, ale staje się chorym organizmem, poddawany rehabilitacji, potrzebującym czasu, aby odżyć oraz aby „ekosystem odpowiedział” na terapię, uwolnił się od antropopresji. Ten język daje już wodzie pewną podmiotowość, sprawczość, wynikające z tego, co „rzeka robi” i kogo lub co ożywia w określonym miejscu swojego biegu. Jednak nadal jest „pacjentem”

człowieka. Nadal jego ingerencja jest istotna, myślę, że jest to szczególnie widoczne w miastach. Tu właściwie nie mamy hydromorfologii rzek, ale infrastrukturę. I choć np. Wisła nie jest uregulowana, to małe rzeczki miejskie albo płyną pod ziemią w kanałach, albo już nie istnieją.

I.W.: To bardzo dobre porównanie, ale umyka chyba większości ludzi. I tak było przez lata. Jeżeli chodzi o miasta, to dobrze mówią o tym Rebekah Brown, Nina Keath i Tony Wong¹⁶, którzy pokazują sześć historycznych etapów relacji człowieka i wody w miastach. Obejmują one: zaopatrzenie w wodę (ang. *water supply city*), ochronę zdrowia / odprowadzanie ścieków (ang. *sewered city*), ochronę przeciwpowodziową (ang. *drained city*), rehabilitację ekosystemów (ang. *waterways city*), odtwarzanie lokalnego cyklu hydrologicznego (ang. *water cycle city*) i adaptację do zmian klimatu (ang. *water sensitive city*). Trzy, historycznie pierwsze, etapy są czysto infrastrukturalne i mają na celu zaspokojenie potrzeb mieszkańców miast. Co ciekawe, każdy etap odpowiadał na stojące u jego podstaw ludzkie potrzeby, ale powodował dalsze przekształcenie środowiska, które generowało nowe problemy społeczne i poszukiwania nowych rozwiązań realizowanych w kolejnych etapach. Przykładowo, konieczność zaopatrzenia mieszkańców miast w wodę wymagała poboru

i transportu dużej ilości wody z miejsca w nią zasobnego (co powodowało tam deficyt wody i obniżanie poziomu wód gruntowych) i przekierowanie jej do miast. Zużyta woda, czyli ścieki, przez dziesiątki lat była wylewana na ulice, tworząc zagrożenie sanitarne, co z kolei popychało ludzi do rozwijania systemów kanalizacji sanitarnej. Te, podłączane do rzek, powodowały dalsze zanieczyszczenie i degradację środowiska, podczas gdy rozwijająca się intensywnie zabudowa miejska doprowadzała do coraz większego uszczelnienia powierzchni miast (ograniczono naturalny proces wsiąkania wody w podłoże i jej odprowadzania przez roślinność). W rezultacie po opadach zaczęły pojawiać się tzw. błyskawiczne powodzie miejskie (ang. *flush floods*). Rozwiązaniem miała być kanalizacja deszczowa. Ta jednak, przy wciąż wzrastającym współczynniku zabudowy i pojawiającymi się wraz ze zmianą klimatu ekstremalnymi opadami, ulega szybkiemu przeciążeniu, odbiór nadmiaru wody blokuje się, często nasilając podtopienia, zamiast im zapobiegać. Ostatecznie wyprowadzenie większości wody opadowej poza miasta powoduje z kolei jego przesuszenie, co zwiększa miejską wyspę ciepła, fale upałów i problemy zdrowotne wśród mieszkańców. Dopiero w trzech kolejnych etapach modelu Brown i współpracowników woda postrzegana jest jako żywy element miasta, a nie tylko substancja regulowana dzięki infrastrukturze. Autorzy zakładają w nich odtwarzanie warunków zbliżonych do naturalnych, dla dobra przyrody, między innymi przy

¹⁶ R. Brown, N. Keath, T. Wong, *Transitioning to Water Sensitive Cities: Historical, Current and Future Transition States* [w:] R. Ashley (ed.), *Conference Proceedings: 11th International Conference on Urban Drainage*, Iwa Publishing, Edinburgh 2008, CD ROM.

wykorzystaniu tzw. „błękitno-zielonej infrastruktury”¹⁷.

Pojęcie „błękitno-zielonej infrastruktury” pojawia się od kilkunastu lat w debacie na temat środowiska i wody¹⁸. Tu mamy znowu do czynienia z językiem inżynierii choć, mam wrażenie, jego motywacja jest inna – przynajmniej ja to tak odbieram. Myślę, że to jest próba użycia języka, który trafia do człowieka uzależnionego w dzisiejszych czasach od infrastruktury, zwłaszcza do podejmujących bardzo praktyczne działania i wydających środki publiczne decydentów. Pokazuje, że zieleni i woda to też infrastruktura, i że są tak samo ważne w planowaniu miasta i wydatkowaniu środków jak „infrastruktura szara”, na którą inwestorzy, samorządy i państwo chętnie przeznaczają fundusze i powszechnie uważa się, że poprawia ona jakość życia. Infrastruktura „szara” (betonowa, inżynierska, budowana przez człowieka) jest jednak kosztowna, a jej korzyści – jednowymiarowe (np. budowa podziemnych zbiorników retencyjnych). Ponadto pełnione przez nią funkcje są często jedynie substytutem procesów naturalnych, które są wielowymiarowe i są zasadniczym źródłem i podstawą przeżycia człowieka (np. retencja wody w krajobrazie wspiera roślinność i miejsca bytowania zwierząt, zapylenie, łagodzi susze, tworzy piękny i zróżnicowany krajobraz, nawilża

powietrze i wiele innych). Alternatywą dla infrastruktury szarej są więc ochrona, wspieranie, tworzenie i odtwarzanie terenów zielonych i otwartej wody, czyli „błękitno-zielonej infrastruktury”. Ostatnio mówi się też o stosowaniu rozwiązań inspirowanych naturą (ang. *nature-based solutions*), które pełnią wiele funkcji jednocześnie: są tańsze, przywracają równowagę środowiska i wzmacniają tzw. „kapitał naturalny”. Przytoczę tu przykład pochodzący z dokumentu Komisji Europejskiej: „Niższa wilgotność powietrza na obszarach miejskich z uwagi na brak roślinności oraz większa absorpcja energii słonecznej przez ciemne wyasfaltowane lub betonowe powierzchnie są głównymi przyczynami tego, że temperatura w centrach miast jest często znacznie wyższa niż ich otoczenia. Zjawisko to, znane jako efekt miejskiej wyspy ciepła, może mieć poważne konsekwencje, zwłaszcza w trakcie fali upałów, dla zdrowia wrażliwych grup ludzi, takich jak osoby przewlekle chore lub w podeszłym wieku. Wilgoć, którą przyroda dostarcza za darmo można sztucznie odtworzyć przy użyciu energii elektrycznej do odparowania wody, ale szacuje się, że koszt takiej operacji wyniósłby około 500 000 EUR na hektar. Współpraca z przyrodą i korzystanie z zielonej infrastruktury w środowisku miejskim, na przykład poprzez włączanie w nie parków o bogatej różnorodności biologicznej, terenów zielonych i korytarzy świeżego powietrza, może przyczynić się do złagodzenia efektu miejskiej wyspy ciepła”¹⁹.

¹⁷ K. Krauze, I. Wagner, *From Classical Water-Ecosystem Theories to Nature Based-Solutions – Contextualizing Nature-Based Solutions for Sustainable City*, „STOTEN” 2019, no. 655, s. 697–706.

¹⁸ *Zielona Infrastruktura – zwiększanie kapitału naturalnego Europy*, Komunikat Komisji KOM (2013) 249, Bruksela 2013.

¹⁹ *Ibidem*, s. 4.

M.O.: W tym opisie nadal bardzo silny jest język ekonomiczny, co chyba potwierdza nasze dotychczasowe dywagacje. W jakiś sposób nie dziwi to, bo zdaje się, że taki język uprawomocnia i legitymuje w ogóle jakiegokolwiek działanie polityczne i związane z gospodarowaniem w ramach, choćby takich bytów jak państwo czy jak w tym wypadku Unia Europejska. Legitymizuje dobrze ugruntowany powód, aby coś uczynić, wdrożyć. Język ekonomiczny uzasadnia, jest „poważnym argumentem”. Trochę tak, jakby inne języki tego przywileju nie miały. Przykładowo język troski, współodpowiedzialności albo wspólnotowości ludzkich i nie-ludzkich aktorów. Jednak widzę w „błękitno-zielonej infrastrukturze” czy wyrażeniu *nature-based solution*, taką strategię mimikry, która niesie jakąś nadzieję na przyszłość – jest przecież strategią przetrwania, ale imituje „zewnątrzny” proces, coś, czym wydaje się nam, że nie jesteśmy, nie widzimy z tym wspólnoty. Taki postulat rezygnacji „walki” z wodą, a podjęcia z nią współpracy na zasadach, które istnieją i działają już w świecie, włączaniu w cały proces innych organizmów, czy wręcz całych ekosystemów jako „interesariuszy”, to w moim przekonaniu jest jakiś krok ku rezygnacji z antropocentryczności. Choć nie do końca, nadal to jest jednak „infrastruktura”, „interwencja”, myśl o intencjonalnym przekształcaniu. Pytanie, czy w dobie antropocenu, gdy jako ludzie stworzyliśmy nową erę geologiczną, ratunkiem jest kolejna nieuchronna interwencja, tylko inaczej. Ale wówczas przychodzi mi na myśl globalne zamknięcie z powodu COVID-19 w 2020 roku. Przez prawie rok bierności

ludzi, braku interwencji, woda w kanałach Wenecji zrobiła się przejrzysta, zwierzęta w różnych częściach świata chodziły po ulicach opustoszałych miast, było cicho, stacje pomiarowe odnotowały lepszą jakość powietrza. Znacząco spadła globalna emisja CO₂. Tak jakby nastąpiło kilka miesięcy nowej homeostazy. Tylko to jest świat bez ludzi, który jednak nas nie do końca interesuje. Dla mnie jest to wyraz olbrzymiej dysfunkcji sposobów gospodarzenia i pozycji, jaką chcemy zajmować wobec, ja nazwę to, nie-ludzkich światów. Co musiałoby się stać, abyśmy stali się na tyle „błękitno-zieloni”, aby już „infrastruktura” nie była nam potrzebna, bo byłaby jakąś symbiotyczną oczywistością. I czy w ogóle taka granica jest przekraczalna?

I.W.: Chciałabym wierzyć, że wszystkie te poprzednie koncepcje i podejścia doprowadziły nas do punktu prawdziwych poszukiwań postawy włączającej. Na razie ludzie, jako gatunek dominujący, który się rozwija w sposób zupełnie niekontrolowany, raczej powodują destrukcję wszelkich innych gatunków, środowiska, istniejących sieci powiązań i patrzą na nie z perspektywy chęci szybkiego zaspokojenia swoich potrzeb. W sprawach spornych dotyczących środowiska interesariuszami są przedstawiciele różnych grup społecznych lub zawodowych, ale zawsze jednego, ludzkiego gatunku. Natomiast ja bardzo bym chciała doczekać momentu, kiedy interesariuszem staje się samo środowisko, nie-ludzki interesariusz, na przykład rzeka. Aż trudno sobie wyobrazić, jak ogromnych zmian i w jak wielu sferach życia wymagałaby taka sytuacja.

W planowaniu przestrzennym, ustawodawstwie, wykorzystaniu zasobów. Jednak zapewne największy przełom musiałby się dokonać w samym postrzeganiu przyrody, świadomości jej złożonego charakteru, ożywionej obecności, wrażliwości i reagującego współistnienia. Nie-ludzki interesariusz jest obecnie w bardzo trudnym położeniu. Jest niedostrzegalny. Potrzebuje adwokata. Nie jest w stanie stawić się na spotkaniu i lobbować w imieniu swoich interesów. Dziś tę rolę pełnią często organizacje pozarządowe, czasem naukowcy, czasem również grupy społeczne broniące lokalnych terenów z obawy przed utratą estetyki okolicy lub własnej jakości życia, z różnym skutkiem. A istniejące prawodawstwo nie zawsze broni środowiska w sposób wystarczający. Mam taką smutną refleksję, że na przykład mimo wymaganej ścieżki prawnej w zakresie oceny oddziaływania inwestycji na środowisko, która powinna to środowisko chronić, w praktyce jest ona często tylko formalnym procesem koniecznym do rozpoczęcia kolejnej inwestycji, z którą środowisko z definicji przegrywa. Proponowane kompensacje, czy środki minimalizujące, mogłyby sprawdzić się przy pojedynczych inwestycjach realizowanych punktowo w ogromie niezdegradowanej przyrody. Jednak przy rozmachu i tempie globalnego „rozwoju gospodarczego”, które narzuciliśmy sobie w XX i XXI wieku, większość tej niezdegradowanej przyrody już nie istnieje, a każda kolejna inwestycja zadaje przyrodzie cios, dodający się do tych poprzednich – znacznie większy, niż mogłoby wynikać z jej pojedynczego wpływu.

M.O.: Tutaj przychodzi mi na myśl rzeka Whanganui, położona na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, która w 2014 roku²⁰ dostała osobowość prawną i ochronę zrównaną z prawami człowieka, swojego ludzkiego pełnomocnika, środki budżetowe na zapewnianie jej dobrostanu, oraz „koszyk” dopuszczalnych sposobów korzystania z jej wody. Maorysi od ponad stulecia walczyli o uznanie ich praw do traktowania Te Awa Tupua (Rzeki z Mocą Przodków) jako części własnej społeczności, rozpoznawalnej przez nowoczesne państwo. W preambule dokumentu rzeka jest określona jako „źródło *ora* (życia, zdrowia i dobrostanu), żyjąca całość, która biegnie od gór do morza, składająca się z wielu dopływów i nierozzerwalnie związana ze swoim ludem», co wyraża się w często używanym powiedzeniu przez lud Whanganui *Ko au te Awa, ko te Awa ko au* (Jestem Rzeką, Rzeka jest mną)²¹. Prawnie uznano inną niż zachodnią ontologię, która nie oddziela natury i kultury²². Podziału, który w jakiś

²⁰ Implementacja ustaleń porozumienia między plemieniem Whanganui a rządem Nowej Zelandii weszła w życie w marcu 2017 r.

²¹ A. Salmond, *Tears of Rangī: Water, Power, and People in New Zealand*, „HAU: Journal of Ethnographic Theory” 2014, vol. 4, no. 3, s. 266.

²² Whanganui nie jest jedynym nie-ludzkim podmiotem prawnym. Innymi tego przykładami są: Pacha Mama (Ziemia Matka czy Natura) w Ekwadorze, od 2008 r. konstytucyjnie obdarzona osobowością prawną (od 2010 jest tak też w Boliwii); rzeka Magpie w Kanadzie (od 2021), rzeka Atrato i ekosystem Amazonki w Kolumbii (wyroki Sądu Najwyższego z 2016 i 2018 r.) czy jezioro Erie w USA (ustawa stanu Ohio z 2019 r., toczą się spory sądowe na

sposób, mimo starań i wrażliwości obu nas, nie udało usunąć się z naszej rozmowy. Być może jest to niemożliwe, obie jesteśmy ze świata, gdzie środowisko nie jest wspólnotą dla ludzi, polityki nie włączają szerszych więcej-niż-ludzkich kolektywów, a nauki rozdzielają te dwie kwestie od czasów swych początków. Do języków włączających być może najbliższej aktywistom, nadal jednak, mimo wywieranych przez nich nacisków i produkowania alternatywnych sposobów myślenia, pozostającym poza realnym wpływem na wdrażane polityki, od

ten temat). Rzeki Ganges i Jamuna w Indiach dostały statut „istot żywych” i ochronę prawną wyrokiem Wysokiego Sądu stanu Uttarakhand z 2017 r., podważonym jednak przez Sąd Najwyższy Indii.

których zależy nasza wodna przyszłość. Zdaje się też, że przynajmniej w krajowej debacie publicznej te języki uwspólniające są właśnie najmocniej unieważniane i infantylizowane. Świadczyć może o tym to, że kolejną grupą nimi się posługującą mogą być dzieci – to one chętnie antropomorfizują zwierzęta, rośliny czy inne elementy przyrody. Takie uwspólnianie staje się wówczas językiem dzieciństwa, czymś niepoważnym w debacie publicznej. Wygląda na to, że wyzwaniem jest wypracowanie języka wspólnotowego i uczynienie go przekonującym, sprawczym. A przecież języki włączające nie-ludzkich aktorów są przynajmniej w błękitnej humanistyce, ale i sztuce najbardziej poszukiwane i śmiej twierdzić – wybrzmiewają coraz głośniej.